

Katarzyna Bonda: Wróćę z moim bohaterem na Śląsk i do Zagłębia



Maria Olecha-Lisiecka
m.olecha@dz.com.pl

Literatura kryminalna

Katarzyna Bonda, najpopularniejsza autorka w Polsce, mówi o tym, jak stworzyła Saszę Zaluską, ile z Bogdana Lacha jest w Hubercie Meyerze, jak odbierają jej książki czytelnicy za granicą i o sukcesie, jaki osiągnęła.

Jakie to uczucie, kiedy sprzedaje się ponad dwa miliony książek, co oznacza, że statystycznie, jak wyczytałam, pani książka jest w co szóstym polskim domu?

To jest pięknie! Jestem zaszczona, że ludzie zaufali mi, zainwestowali w przeczytanie książki swój czas i pieniądze - czasem 40 złotych, czasem 8, bo moje książki ukazują się też w formacie pocketowym (kieszonkowym - red.), o co walczyłam. Ja w ogóle walczyłam o to, aby być czytana, popularną autorką, bo moje książki to branża rozrywkowa. Mówię to celowo, bo wiem, że niektórzy mojego pisania nie nazywają literaturą, a prozą gatunkową, kryminalną. Do swojego sukcesu mam stosunek bardzo pokorny, bo pamiętam czasy, kiedy moje książki się nie sprzedawały, wiem, co znaczy siedem naprawdę chudych lat. To też nie jest sukces tylko na polskim rynku, ale też za granicą - za kontraktowanych jest dwanaście krajów.

Niedawno doszły Włochy.

Tak. Włosi akurat wydadzą dwie książki równocześnie: „Pochłaniacza” i „Okularnika”. Jako jedne z pierwszych były Czechy, Rosja, Holandia, Niemcy i tak sukcesywnie moje książki wychodzą w zależności od tego, jak jestem wpisana w katalog wydawniczy. Nie ukrywam, że dla mnie to duża niespodzianka. Dlatego, że mnie rynek polski początkowo nie rozpieszczał, jeżeli chodzi o polską prasę, krytykę, nie dostawałam też nagród. To, co mnie zbudowało, to czytelnicy. Ludzie mnie czytają. Dlatego

Rynek polski mnie początkowo nie rozpieszczał, jeśli chodzi o prasę i krytykę. Nie dostawałam też nagród. To, co mnie zbudowało, to czytelnicy

też ja im to oddaję. Jeżdżę do każdej najmniejszej miejscowości na spotkania autorskie, odpowiadam na listy i mam ogromny szacunek dla czytelnika. Dlatego, że sukces, o którym pani mówi, zawdzięczać moim czytelnikom. Proszę mi wierzyć, że nie ma pisarzy, którzy nie chcą być czytani. Jeżeli pani pisze powieść, wkłada pani w nią swoje serce, pracę, energię - to chce pani być czytana.

Pani spotkania to właściwie tournée promocyjne - kilka miesięcy podróży po całej Polsce. Nie wszyscy pisarze tak robią.

Dla mnie to prawdziwa przyjemność, naprawdę. Kiedy piszę książkę, siedzę w mojej „jaskini” w dresie, w polarze, nie wychodzę do ludzi. W czasie zapisu jestem odcięta od świata zewnętrznego, nie wychodzę do ludzi. Jasne - mam dziecko, które muszę wyprawić do szkoły, psa, którego trzeba wyprowadzić na spacer, załatwić coś w urzędzie. Normalnie funkcjonuję, ale poza tymi codziennymi obowiązkami - odcinam się. To jest taki czas, kiedy nie ustawiam tej trasy promocyjnej, jak to pani nazywa. Ale kiedy książka jest gotowa i idzie do druku, czyli moja opowieść się materializuje, przychodzi taki czas, że aż mam ochotę wyjść do ludzi, przebrać się w normalną odzież i zobaczyć ludzi, którzy mnie czytają. To dla mnie ważne, bo kiedy piszę, mam codziennie takie wątpliwości: czy to w ogóle ma sens? Czy to, co piszę, się spodoba? To jest piękne, kiedy ludzie przychodzą na spotkania ze swoimi historiami związanymi z przeczytaniem moich książek, przychodzą z pochwałą, z krytyczną oceną, z prezentami, z uwagami. Odbieram to na takim poziomie magicznym. Oczywiście, mogłabym tego nie robić i spotykać się tylko z moimi kolegami pisarzami na festiwalach - też to robię. Ale ja po prostu czerpię pozytywną energię od czytelnika. Paradoksalnie to trwa krótko w porównaniu do czasu zapisu i dokumentacji, bo około trzech miesięcy. Po takim czasie, kiedy miałam szansę pobyć z moimi czytelnikiem, odbiorcą, kimś, kto jest najważniejszy dla mnie, zawsze robię update, nadbudowę danych i zastanawiam się, co dalej, w którą stronę pójść. Nie ukrywam, że się zmieniam, mój zapis się zmienia. Rodzaj narracji, nawet gatunek u mnie zawsze jest dopasowany do historii, którą wybieram. I to nie jest tak, że ja się dostosowuję



Katarzyna Bonda debiutowała w 2007 r. powieścią kryminalną „Sprawa Niny Frank” z Hubertem Meyerem jako protagonistą

do gustu. Ludzie prawdopodobnie by chcieli, abym pisała za każdym razem podobną powieść kryminalną, a ja tak nie potrafię. Za każdym razem opowiadam zupełnie inaczej, co innego mnie interesuje. Wszystkim się nie będę podobać i to zawsze ludziom mówię, więc piszę dla tych, którzy coś to dają.

Jak odbierane są pani książki za granicą? Czy tam czytelników ciekawi Polska?

Tak, odczytywane są na tych wszystkich kontaktach poza kryminałem. Wszystkiemu, co przez lata wytykano mi u nas jako mankaament, cenę czytelnik zagraniczny. Ludzie za granicą, my sobie z tego nie zdajemy sprawy, bardzo niewiele o nas wiedzą. Mówię o mentalności, w jaki sposób myślimy, jakie mamy ma-

ria, jaki mamy system gospodarczy, polityczny, społeczny, co się u nas dzieje, co jest modne, jaka jest typowa polska dusza, o naszej martyrologii, mesjanizmie, o naszej przepiękności. To wszystko ich bardzo ciekawi. Jest też tak, że moje książki wychodzą w dużych wydawnictwach, tzw. wielkiej piątki, np. Random House. W Niemczech byłam na liście bestsellerów. W „Buch Aktuell”, prestiżowej gazecie, doceniono to, co w Polsce w „Pochłaniacz” było krytykowane: że za dużo wątków, że Bonda rozmija się z kryminałem, profanuje gatunek, wytykano mi mnóstwo mankaamentów, tymczasem tam oceniono to wszystko jako walor książki. Z kolei kiedy byłam w Indiach, bałam się, w jaki sposób tam będzie to odczytane, ponieważ Sasza jest suchą alkoholizacją,

samotnie wychowuje dziecko, zajmuje się profilowaniem, czyli pracuje w policji, a kobieta w tamtym rejonie ma zupełnie inną funkcję życiową - mówiąc ogólnie. A zostało to bardzo dobrane odczytane. Te kobiety były zafascynowane, że my, Polki, jesteśmy tak wyemancypowane, że one marzą, aby jak Sasza wejść w buty mężczyzny i samodzielnie podejmować decyzje. W Holandii zaś najciekawsze okazały się te wszystkie elementy rozwiązania zagadki za pomocą zapachu; osmologia.

Czyli „Pochłaniacz” się spodobał, a potem kupili resztę serii?

Tak. Choć muszę pani powiedzieć, że kiedy sprzedawałam prawa do „Pochłaniacza” Brytyjczykom, to pierwszą część serii była jeszcze maszynopisem. A oni od razu kupili prawa do całości serii. Dzwonili do mnie wtedy różni polscy wydawcy, koledzy pisarze z pytaniem: „Bonda, jak ty to zrobiłaś? Przecież tej książki jeszcze nie ma!”. I tak sobie myślę, że można na to patrzeć z różnych perspektyw. W moich książkach jest bardzo wiele elementów i każdy znajduje coś dla siebie. Czytają mnie w Polsce, za granicą; ludzie dojrzały i bardzo młodzi, wykształceni i tacy, którzy od 30 lat książki nie mieli w rękę. I wciągają się w moją opowieść.

Pamięta pani, jak wymyśliła Saszę Zaluską? Oczywiście!

To jak to było?

Czasem wydaje nam się, że czegoś chcemy, ale wcale tego nie potrzebujemy. I odwrotnie: nasze marzenie długie się nie spełnia, a okazuje się, że coś innego było nam dane - jak seria z Saszą w moim przypadku. Pracowałam nad zupełnie inną książką, która nigdy nie powstała, z tej przyczyny, że były tam treści niewygodne dla kachtańskiego wydawcy. Mówię to głośno i świadomie, jak by coś mi się stało... Zdecydowałam, że nie będę tej książki pisać, bo rodzina i jej bezpieczeństwo jest dla mnie ważniejsza. Ale wydałam wszystkie pieniądze, jakie miałam - a nie miałam ich dużo - na dokumentację, wydałam zaliczkę od wydawcy, więc poszłam i powiedziałam, że oddam zaliczkę w ratach. Mój wydawca zaproponował, abym wymyśliła coś innego.

To książka o tym, jak rodzica się polska demokracja i mafia na styku polityki, biznesu, przestępczości zorganizowanej i służb.

Bardzo cieszę się, że na takim poziomie pani tę serię odbiera, bo przynajmniej w pewnym momencie nie interesowało mnie już, kto zabił, czyli nie interesowała mnie Sasza jako detektyw, ale czterolekietowa historia pokazująca Polskę z czterech miejsc. Mnie interesowała także rozmowienie, aby czytelnik z rozczuconych puzzli ułożył sobie obrazek. Od początku wiedziałam, w jaki sposób to ma się zamykać, więc aby nie spalić tej historii, trochę ją wycofałam. Niektórzy czytelnicy nie mogą mi tego darować. Ale nie umiałam ina-

I wymyśliła pani Saszę.

Nie od razu! Najpierw się zbiesiłam! Jak nad czymś pra-

cuje, to jestem absolutnie zaangażowana. Ale zawsze powtarzam, że nie należy decydować o podejmowaniu poczopnie wieczorem, tylko najlepiej przespąć się i zrobić to rano. Mój wydawca jest mądry i wysłał mnie do domu. Poszłam, nie spałam całą noc. Wstałam rano, zaprowadziłam dziecko do przedszkola, wróciłam do domu, usiadłam do komputera i w cztery godziny napisałam konspekt o Saszy. Miał siedemnaście stron, w punktach. Był to sekret Saszy, profil zawodowy Saszy, profil osobisty Saszy i cztery części streszczenia.

Czyli sekret, który poznałem w „Czerwonym Pająku”, wymyśliła pani na początku?

Tak. Oczywiście to było siedemnaście stron, więc tylko taki zarys, rodzaj drabinki. Jak to napisałam, przeczytałam i wysłałam. Jeszcze raz tego samego dnia przepisałam umowę z wydawcą. Na pewno ta historia, której nigdy nie napisałam, w jakimś stopniu zawiera się w opowieści o Saszy. To jest magia tego zawodu: można przetworzyć fabułę, postaci. I powiem szczerze, że nie jestem pewna, czy gdybym napisała tamtą książkę, to byśmy się spotkały i pani by mnie zapytała o te dwa miliony książek.

„Czerwony Pająk” to opowieść o Saszy, ona jest w epicentrum zdarzeń. Czytając „Pochłaniacza”, „Okularnika”, a szczególnie „Lampiony” irytowałam się momentami, że sypcha pani Saszę czasem na boczny tor. Ale ta seria, to szczególnie ważnym na „Czerwonego Pająka”, to też opowieść o Polsce... Boże, jaki piękny komple-

ment!

To książka o tym, jak rodzica się polska demokracja i mafia na styku polityki, biznesu, przestępczości zorganizowanej i służb.

Jednak po paru latach młodziencze zainteresowania i predispozycje znów się ujawniły. Zaczą się doskonalić i uczyć od najlepszych bioeneroterapeutów i urodzilić na świecie. Pierw służyłem Polakami, którzy pobierał nauki u słynnej gruzyńskiej urologielki Dżyny Dawitaszwilli. Leczyła ona m.in. Breźniewa, Czernielę i Felliniego. Mikołajczak uczył się też w Uzbekistanie, na zachodzie Europy. Przebywając w klasztorze tybetańskim posiadał wiedzę buddyjskich mistrzów, uczył się cierpliwości i spojrzenia na świat od ludzi Dalekiego Wschodu, a osobisty mistrz wprowadził go w skomplikowane tajniki pracy z energiami. Jednak on sam najchętniej sięgał po metody Dżyny, czyli po masaż bezdotykowy, korygujący i wzmacniający ciało. Przesuwając rękę w pewnej odległości od ciała pacjenta doskonale wpływa, gdzie występują zaburzenia. „Nie jestem lekarzem, u mnie przede wszystkim liczy się efekt końcowy, czyli dobre samopoczucie i powrót do zdrowia” - mówi.

Bogusław Mikołajczak uchwodził dziś za jednego z największych fenomenów polskiej bioeneroterapii, a efektem, jakie uzyskuje często przysługa się me-

czę o Saszy i Polsce opowiedzieć. W „Pochłaniacz” Sasza pojawia się na 160. stronie. Powiem pani, że stwierdziłam, że może już nigdy nie będę miała szansy na to, aby napisać powieść tak inną od wszystkich, jakie dotychczas napisałam. Ten żywioł ognia mnie do tego

pierwszą książką, którą ja chciałabym spalić (śmiech). Powiem pani, że stwierdziłam, że może już nigdy nie będę miała szansy na to, aby napisać powieść tak inną od wszystkich, jakie dotychczas napisałam. Ten żywioł ognia mnie do tego

O Śląsku pisze się łatwo. Aglomeracja, duża anonimowość, przestrzemie, które się przenikają: to jest doskonale miejsce dla kryminału

Wspomniała pani o chęci spalenia pierwszej książki, czyli „Sprawy Niny Frank” z Hubertem Meyerem. To bohater z Katowic...

Ta piękna komenda, w której on pracuje, to jeszcze stoi?

Stoi.

REKLAMA

WAKACYJNA PROMOCJA

Z tym kuponem **70%** pierwsza wizyta **zniży**

FENOMEN

Cudotwórcą? - Nie, jestem tylko uniwersalnym kluczem, który otwiera naszą wewnętrzną aptekę. Organizm ludzi sam potrafi o siebie zadbać, trzeba mu tylko czasem pomóc - mówi znany bioeneroterapeuta Bogusław Mikołajczak.

Jego praca z energiami zaczęła się od choroby matki. Miała 18 lat, kiedy poważnie zachorowała. Do Wrocławia miał przyjechać słynny Harris i Mikołajczak poszedł, by wyprosił dla niej jak najszybszy termin. Wówczas bioterapeuta współpracujący z Harrisem powiedział mu, że ma właściwości uzdrowicielskie. Bogusław śmiał się z tego, ale kiedyś koleżkę bolała głowa, więc przyłożył mu do niej rękę. Po krótkim czasie ból minął. Potem przyszła po pomoc babcia kolegi. Zaczęły się pojawiać nieznajomi ludzie. Wówczas wystraszył się tego fenomenu, jakim obdarował go los i przestał uzdrawiać.

Dwa lata temu wszystko w życiu Pani Jołanty stanęło pod znakiem zapytania, wszystkie plany, rodzina, praca zawodowa. To przerażające uczucie, że można to wszystko stracić była obezwładniająca. Nie miałam siły nawet płakać - mówi, moje serce było do niczego. Tylko poważna operacja kardiologiczna była moją ostatnią nadzieją. Zdecydowałam się na nią. Wyznaczono mi termin i zlecono wykonanie szeregu dodatkowych badań. Miałam dwa i pół miesiąca do operacji. By nie zwariować z własnymi myślami i jakoś okiełznać paralizujący lęk, postanowiłam też coś zrobić. Umówiłam się na zabieg u poleconego mi bioeneroterapeuty Pana Mikołajczaka. Po 8 zabiegach pojechałam na ostatnie badanie przedoperacyjne. Słów, które wypowiedziała Pani docent nie zapomnę do końca życia - to jest niemożliwe, to nie jest Pani serce.“ Okazało się, że stan moich zastawek był tak dobry, że operacja nie była wymagana. Nie potrafię słowami wyrazić wdzięczności dla Pana Bogusława. Dziękuję to za mało.

Bogusław Mikołajczak wciąż pracuje nad sobą. Żaden z jego pacjentów nigdy nie usłyszał „Ja pana ulecę”. Takie rzeczy mówią tylko szarłatani - twierdzi. Dzięki specyficznym właściwościom swojego biopola może sformułować układ odpornościowy i wyzwoić siły samoobronne chorego. Jest przekonany, że każdy organizm posiada nieograniczone i do końca jeszcze nierozpoznane możliwości samoleczenia.

dyczna klasyczna. Mikołajczak na co dzień współpracuje z lekarzami. Twierdzi, że najlepsze efekty przychodzi wtedy, gdy medycyna konwencjonalna i niekonwencjonalna wzajemnie się uzupełniają. W rozmowie z pacjentem zawsze podkreśla znaczenie tej wzajemności.

Wdzięczni pacjenci, którzy dzięki niemu odzyskali zdrowie chętnie dzielą się wrażeniami i sukcesami uzyskanymi po terapiach.

„Zgłosiłem się do Pana Mikołajczaka z „męskim” problemem, mówi Pan Ireneusz. Miałem znacznie powiększony gruczoł prostaty. Jedyną metodą gwarantującą wyleczenie był zabieg chirurgiczny przy pełnej narkozie. Bardzo się tego bałem i na tym też rozwinęła się u mnie nerwica, której towarzyszyły silne bóle i zawroty głowy. Po swoich zabiegach gruczoł krokowy zmniejszył się do wielkości naturalnych rozmiarów. Ustąpiły także bóle i lęki. Dziękuję za wyleczenie.”

Pani Urszula od 10 lat nie wiedziała, co to znaczy śmiać się, cieszyć życiem i normalnie funkcjonować. Pomimo tego, że ma kochającego męża, normalny dom i wszystko, co człowiekowi prawdopodobnie jest do szczęścia potrzebne. Kobieta bała się wychodzić z domu, rozmawiać z ludźmi, nie opuszczała łóżka przez większą część dnia. Wszystko to przez depresję, na którą cierpiała. Na wizytę u Pana Mikołajczaka zdecydowała się bez wielkiego przekonania. Nie wierzyła, że poprzez niekonwencjonalne metody można sobie poradzić z taką chorobą. Niezwykła moc tego człowieka zadziałała na nią jak czarodziejska różdżka, choć nie od razu osiągnęła całkowitą równowagę psychiczną. Na to potrzeba było miesięcy, ale za to dzisiaj chce się śmiać, cieszyć i korzystać z życia. Osobom dotkniętym podobną chorobą chce powiedzieć, żeby się nie poddawali, walczyli, szukali.

O fenomenalnych zdolnościach Mikołajczaka przekonała się również Pani Małgorzata. Była przerażona, gdy dowiedziała się, że czeka ją operacja torbieli na jajnikach. W oczekiwaniu na miejsce w szpitalu zdecydowała się na zabieg bioeneroterapii u Pana Bogusława. Gdy po 6 zabiegach zrobila kontrolne badanie USG, okazało się, że jedna z torbieli zniknęła. Nie za-

Meyer jest do niego bardzo podobny?

Staralam się oddać genialność Bogdana, jeśli chodzi o zawodowe rzeczy, ale sferę prywatną Huberta Meyera stworzyłam na kontrze, jest to rewers Bogdana. Dlatego tak nawiązywałam w życiu Huberta: co chwile inna baba (śmiech). A Bogdan jest niesamowitą osobą, człowiekiem opoka!

Będzie czwarta książka z Hubertem Meyerem?

Tak, obiecałam, że będzie. I będzie działa się tutaj, u was, na Śląsku i w Zagłębiu, bo wiem, że tu jest ten odwieczny konflikt, chociaż jeszcze nie do końca rozrozmiał, gdzie jest granica, bo nie przyjechałam na dokumentację (śmiech).

Polibuła pani Śląsk podczas pracy nad serią z Meyerem?

Tak. W ogóle o Śląsku pisze się łatwo. Ta aglomeracja, połączenie tych miast, to, że przestrzemie się przenikają, że jest tak duża anonimowość, że są miasta, gdzie jest dopiero jedno pokolenie żyjące tutaj od urodzenia, to jest absolutnie

fascynujące i do doskonałego miejsce dla kryminału. A z drugiej strony, jest taki nerw śląski, i zagłębiowski pewnie też - zbadał go! - który lubię. Tylko obawiam się wrócić do Huberta, bo o Saszę się cały czas trzęsałam, a jego to się boję, bo on jest tak niesubordynowany w zapisie, cały czas muszę z nim walczyć.

Bo żyje własnym życiem?

Tak, żeby pani wiedziała (śmiech)! Poza tym jest zwinistą. No nic, będzie ciekawie!

Seria z Saszą jest skończona. Jakie ma pani plany pisarskie?

Szczerze? Po raz pierwszy w życiu mam taki moment, że nic nie muszę, że nie mam noża na gardle, deadline'u w wydadnictwie. Mogę odpocząć i pomyśleć. Mam też świadomość, że odium serii o Saszy jest ciężkie i trudno będzie mi zaspokoić oczekiwania wszystkich. Boję się tego, co dalej, boję się, że część ludzi się rozczaruje. Myślę, że czeka mnie ciekawa konfrontacja. Ale zdźwignę to! (uśmiech). ©©

Bogusław Mikołajczak przyjmuje regularnie w Katowicach, tel. 32 757 27 76, www.biomat.pl

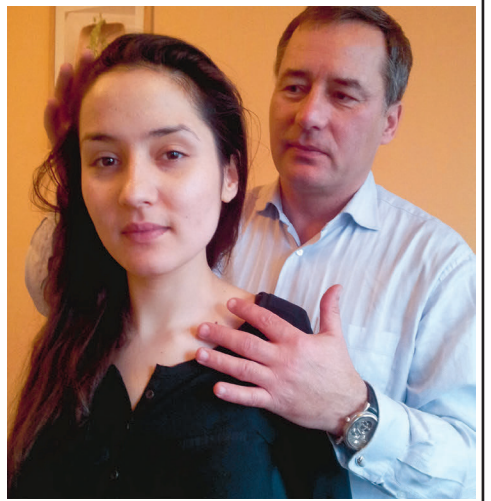
stanawiając się postanowiła kontynuować zabiegi. Po serii 10 wizyt 2 pozostałe torbielie zniknęły, a operacja okazała się niepotrzebna.

Dwa lata temu wszystko w życiu Pani Jołanty stanęło pod znakiem zapytania, wszystkie plany, rodzina, praca zawodowa. To przerażające uczucie, że można to wszystko stracić była obezwładniająca. Nie miałam siły nawet płakać - mówi, moje serce było do niczego. Tylko poważna operacja kardiologiczna była moją ostatnią nadzieją. Zdecydowałam się na nią. Wyznaczono mi termin i zlecono wykonanie szeregu dodatkowych badań. Miałam dwa i pół miesiąca do operacji. By nie zwariować z własnymi myślami i jakoś okiełznać paralizujący lęk, postanowiłam też coś zrobić. Umówiłam się na zabieg u poleconego mi bioeneroterapeuty Pana Mikołajczaka. Po 8 zabiegach pojechałam na ostatnie badanie przedoperacyjne. Słów, które wypowiedziała Pani docent nie zapomnę do końca życia - to jest niemożliwe, to nie jest Pani serce.“ Okazało się, że stan moich zastawek był tak dobry, że operacja nie była wymagana. Nie potrafię słowami wyrazić wdzięczności dla Pana Bogusława. Dziękuję to za mało.

Czy może być większa satysfakcja dla bioeneroterapeuty niż takie opowieści? A to przecież tylko kilka historii, o których opowiedzieli nam pacjenci. Podobnych jest znacznie więcej. Z podobną wdzięcznością mówi Pani Krystyna, która pozbyła się problemów skórnych, Pan Józef, który bez leczenia farmakologicznego pozbył się wrzodów żołądka, Pani Janina, u której udało się wyzdrowieć wysokie ciśnienie w oku, nie mówiąc już o rzekłach wielu dzieci, które w gabinecie Mikołajczaka pozbyły się alergii, moczenia nocnego czy nadpobudliwości.

PODOBNE HISTORIE MOŻNA BY MNOŻYĆ.

Bogusław Mikołajczak wciąż pracuje nad sobą. Żaden z jego pacjentów nigdy nie usłyszał „Ja pana ulecę”. Takie rzeczy mówią tylko szarłatani - twierdzi. Dzięki specyficznym właściwościom swojego biopola może sformułować układ odpornościowy i wyzwoić siły samoobronne chorego. Jest przekonany, że każdy organizm posiada nieograniczone i do końca jeszcze nierozpoznane możliwości samoleczenia.



Pani Anna Lisiecka, która cierpiała na uciążliwą alergię z objawami ciężkiej kataru i zmianami skórnymi. Przedzbała się w codziennym funkcjonowaniu. Dzięki zabiegom u Bogusława Mikołajczaka skutecznie pozbyła się uciążliwych dolegliwości. Dzisiaj jest pogodna, pełną energii młodą osobą w pełni korzystającą z uroków życia bez choroby.

Wśród schorzeń, w których zaobserwowano poprawę stanu zdrowia osób korzystających z terapii Bogusława Mikołajczaka, wymienić można m.in.: choroby układu krążenia, schorzenia skóry, alergie, migreny, bóle głowy, nerwice, depresje, stany lękowe, bezsenność, choroby nosa, gardła, krtni, uszu, watroby, choroby układu pokarmowego, guzy, wrzaski, choroby układu moczowego, choroby neurologiczne (Parkinson, stwardnienie rozsiane), choroby tarczycy, oczu (jaskra, zapalenie spojówek), stany zapalne narządów ruchu, niedowład kończyn, schorzenia narymne, choroby kręgosłupa, schorzenia onkologiczne, ginekologiczne (mięśniaki, guzy suttów).